

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

2

(Ciąg dalszy).

Stanęli oboje przed gospodą i patrzyli na dom, bliski już zapadnięcia. Ona miała na szyi rodzaj szala, który zasłaniał jej prawie zupełnie dolną część twarzy, podczas gdy czoło zasłonięte było kapeluszem. Tylko ładny rzymski nosek i para bardzo ruchliwych, wyrazistych siwych oczu była odkryta.

Ślimakowi zdawało się, że zauważył, iż oczy te, rozglądające się naokoło, były zwilżone łzami; zdawało mu się też, że kobieta błagalnym ruchem zwróciła się do towarzysza, z jakąś prośbą, jednak on — starszy już mężczyzna z gęstymi czarnymi brwiami i siwiejącą brodą — zaprzeczył stanowczo ruchem głowy. Był on niespokojny, jakby jak najprędzej chciał opuścić to miejsce i prawdopodobnie słowa, z jakimi się kilkakrotnie zwracał do swej towarzyszki, zawierały prośbę, aby iść dalej. Kobieta jednak oparła się temu i widać nawet było, że ma ochotę nie tylko nie odchodzić, lecz owszem wejść do domu, gdzie miała miejsce katastrofa. Spojrzał więc na ów mężczyzna, więc przemocą prawie wziął ją pod rękę i prowadził ku ulicy, z której przyszli.

Ślimak miał wielką ochotę pójść za nimi — możeby mu to było oszczędziło wiele późniejszych trudów — jednak pomny swego zadania, które brzmiało: „dowiedzieć się na miejscu wszelkich możliwych szczegółów“ — pozostał. Zresztą podejrzenie, że te dwie osoby mają z morderstwem coś wspólnego, nie miało najmniejszych uzasadnionych podstaw, aby tracić czas na ich śledzenie. Odwrócił się więc od nich i zaczął obserwować grupę Francuzów, którzy niedaleko od bramy dosyć głośno ze sobą rozmawiali, żywo gestykulując.

Ponieważ Ślimak znał język francuski i nawet dość biegle nim władał, przyłączył się przeto do nich i przysłuchiwał się ich rozmowie, której głównym przedmiotem była tragiczna śmierć ich rodaka.

Jeden z nich znał Hanier'a jeszcze z Paryża, gdzie tenże miał fabrykę likierów i był wcale zamożnym. Potem spotkało go nie zczęście, wskutek którego opuścił kraj rodzinny i wywędrował do Ameryki. Inny wspominał, że on i Hanier byli członkami pewnego stowarzyszenia socjalistycznego, w którym z pewnością wiadomość o jego śmierci ogólną wywołała żalobę. Każdy zresztą miał do powiedzenia coś dobrego o zamordowanym przyjacielu. Wtem do grupki rozmawiających przyłączyli się obydwaj Francuzi, którzy pierwsi usłyszeli rozpaczliwe wołanie o pomoc pani Hanier i zaraz w nocy pospieszali na miejsce wypadku. Naturalnie drażniono ich pytaniami. Okazało się, że należeli oni do tych ostatnich, którzy Hanier'a jeszcze za życia widzieli. Obydwaj bowiem siedzieli wieczór poprzedniego dnia w gospodzie i rozstali się na chwilę przed zamknięciem.

Jednemu z nich błysła nagle nowa jakaś myśl, chwycił towarzysza za ramię i zawołał:

— *Tiens mon ami!* (Słuchaj przyjacielu! — Przyp. tłum.) Mam myśl! Te łotry! tak, tak! To oni musieli być!

— O kim mówisz?

— Naturalnie o tych gałganach, którzy jakieś my jeszcze siedzieli w gospodzie, wpadli do szynkowni i chcieli ukraść pieniądze z szuflady. Schwycił ich Hanier na gorącym uczynku, więc gałgan uciekł. A, teraz już sprawa jest jasną zupełnie. Ponieważ nie mogli wieczór wykonać swego zamiaru, więc przyszli później, splądrowali sklep i zamordowali Hanier'a.

Wiadomość ta wywarła olbrzymie wrażenie. Kilkanaście osób się podniosło, pytania zaczęły się krzyżować i przez długi czas trwała wrzawa. Zdawało się bowiem wszystkim, że rzeczywiście trafili na drogę do odkrycia zbrodni.

Ślimak zamienił się cały w słuch.

Sprawę tę omawiano jeszcze szeroko i długo; ostatecznie postanowili obydwaj Francuzi udać się do pani Hanier i uwiadomić ją o swem podejrzeniu. Przy drzwiach za rzynał ich policyant; kiedy mu jednak powiedzieli, z cieniem idąc, puścił ich do wnętrza. Ślimak wsunął się za nimi.

W sypialni było wszystko tak, jak przedtem. Tylko trup był przykryty chustką. Na łóżku sie-

działa pani Hanier; dzieci odesłano do ich pokoju.

Francuzi oznajmili wdowie, że w ostatni wieczór przyszło do szynkowni kilku ludzi i podczas gdy dwaj starali się odwrócić uwagę Hanier'a od szynkowni, jeden z nich usiłował dostać się do szuflady z pieniędzmi. Hanier jednak spostrzegł się, więc łotryki czmychnęły, jak mogli najprędzej.

Biedna wdowa przypominała sobie, że mąż jej coś o tem wspominał, ponieważ jednak nie była przytem obecna, więc nie mogłaby zbrodniarzy rozpoznać, nawet gdyby ich złapano. Była ona jakby szołomiona nieszczęściem, jakie ją spotkało, więc nawet nadzieja, że zbrodniarzy można będzie odkryć, nie robiła na niej wrażenia. Bo i cóż jej z tego, że zbrodniarze poniosą zasłużoną karę? Kara ta przecie nie przywróci do życia jej małżonka, nie wróci jej już szczęścia i spokoju.

Wreszcie Francuzi odeszli, mocno przekonani, że znaleźli właściwy ślad i że będą w stanie, o ile się tylko sposobność nadarzy, rozpoznać owych trzech złoczyńców. Opisali więc pokrótce wygląd każdego z nich stojącemu na straży policyantowi, a telegraf rozniósł te rysopisy we wszystkich kierunkach. Ale ludzi podobnych jest w Nowym Jorku tysiące; któż mógł zaręczyć, że zostanie schwytany właściwy zbrodniarz?

Tymczasem Ślimak uwiadomił panią Hanier w jej własnym języku o swoim zadaniu i o celu swych odwiedzin. Powiedział jej, że okoliczności, wśród jakich popełniono morderstwo, każą przypuszczać, że zbrodniarze chcieli się zemścić na swojej ofierze. Aby więc można było wpasować trop morderców, musi mi pani — mówił do niej — dokładnie opowiedzieć wszystkie zdarzenia z życia Hanier'a oraz nazwiska wszystkich ludzi, z którymi nieboszczyk miał stosunki. Tylko w ten sposób można być pewnym pomyślnego rezultatu, a szczegółów tych najlepiej może mi udzielić pani.

Te słowa wyrwały panią Hanier z odrętwienia. Odpowiadała szczegółowo na stawiane jej pytania i opowiedziała historię życia Ludwika Hanier'a.

Po kilku godzinach powrócił Ślimak, mając zanotowane mnóstwo szczegółów mniejszej lub większej wagi, do gmachu tajnej policyi przy ulicy Mulberry i zapukał do kancelaryi inspektora.

III.

W pokoju inspektora policyi.

W olbrzymim gmachu dyrekcji policyi w Nowym Jorku znajduje się na drugim piętrze wielki pokój, którego okna wychodzą na dziedziniec. Pokój ten urządzony był prawdziwie zbytkownie. Na podłodze rozłożony był wspaniały dywan ciemnej barwy, duże stoły, nakryte zielonym sukniem, były jakieś zgrabne i lekkie, wspaniałe fotele były zrobione w ten sposób, że nie tyle uważano na ich wygląd, jak na wygodę. Wogóle pokój ten mógł być bardzo dobre wrażenie i mógł się podobać, gdyby go nie szpeciły wysokie, oszklone szafy, stojące przy ścianie.

Szafy tych było trzy; sięgały one od podłogi aż do sufitu i zwracały na się odrazu uwagę z powodu najrozmaitszych przedmiotów, jakie się w nich znajdowały. W jednej było mnóstwo instrumentów, wyglądających jak narzędzia do włamywania, tam znów pełno pił, a dalej zbiór broni różnego rodzaju, od sztyletu, jakim się posługują ludianie i strasliwego noża, używanego przez matków, aż do rewolweru najnowszej konstrukcji. Najbogatszy jednak był zbiór broni palnej: pistolety, rewolwery, floberty i karabiny, między nimi kilka, na dziesięciu, a nawet dwunastu lufach. Było tam też kilkanaście czarnych „śmiertelnych koszul“, w jakie ubierają idących na stracenie. Na każdej koszuli była wypisana data i nazwisko zbrodniarza, który poniósł śmierć, ubrany w tę koszulę. Wogóle wszystkie przedmioty oznaczone były odpowiednimi kartkami. Było to muzeum kryminalne w Nowym Jorku — wielka wystawa sztyki i przemyślnie zbrodniarzy. Te pamiątki po wrogach ludzkości przechowywano tutaj jakby celem przypomnienia, że rodzaj ludzki dotąd jeszcze nosi na czole Kainowe piętno.

Jakby dla dopełnienia tego obrazu narządzi zbrodniczych wisiały na ścianach portrety najgłośniejszych zbrodniarzy. Powszechne jest mniemanie, że zbrodniarze mają na twarzy wypisaną potworność swej duszy. Mniemanie to jest jednakże błędne. Na twarzach zbrodniarzy, których fotografie tam wisiały, czytało się tylko na niektórych wyraz zbrodniczy. Inne, a była ich większa część, nie zdradzały bynajmniej popędu zbrodniczego.

Owszem, były to twarze dobronaszne, lekko uśmiechnięte, bardzo nawet czasami inteligentne.

W tym pokoju, w prywatnym biurze nowojorskiej tajnej policyi, siedział 30 grudnia przedpołudniem silnie zbudowany mężczyzna lat najwyżej czterdziestu, ubrany bardzo porządnie. W przyjemnych rysach jego twarzy odbijało się dziwne połączenie otwartości i skrytości. Zwyczaj robił on wrażenie człowieka rozrządnego, a jednak miał on nadzwyczajny talent obserwowania ścisłego i dokładnego. Sądząc po jego powolnej mowie można go wziąć za majętnego przemysłowca, piasującego jakiś wyższy urząd kupiecki. A przecie człowiek ten piastował jeden z najważniejszych i najbardziej odpowiedzialnych urzędów wielkomiejskich, mianowicie urząd dyrektora nowojorskiej policyi tajnej. Człowiek, który w tym pokoju siedział pochylony nad biurkiem, zawalonem aktami, był nikim innym, jeno inspektorem Byrnesem we własnej osobie.

— Proszę! — zawołał silnym głosem, usłyszawszy pukanie do drzwi.

Do pokoju wszedł Ślimak.

— Już z powrotem? — zapytał inspektor, opierając się wygodnie w fotelu. — I cóż się pan dowiedział w sprawie morderstwa przy ulicy Wolności?

— Albo dużo — albo nie! — odparł Ślimak tak cichym głosem, jakby nie odpowiadał na pytanie, ale sam siebie oskarżał.

— Dużo, albo nie! — powtórzył inspektor — co to znaczy? Brzmi to całkiem zagadkowo.

— Mówię: „dużo“ — ciągnął dalej Ślimak — bo morderstwa dokonano wśród nadzwyczajnych okoliczności — a „nie“ — bo faktycznie niema ani jednego szczegółu, któryby wyświetlał tajemnicę.

— Jakież to nadzwyczajne okoliczności?

— Przedewszystkiem fakt, że historia życia Hanier'a jest nadzwyczaj powszednia, i nie daje podawy nawet do przypuszczeń. Życie to tak było proste, że Hanier nigdy nie miał nieprzyjaciela, postępował otwarcie i uczciwie, zyskując sobie jeno powszechny szacunek. Z tego nie można wyciągnąć wniosków celem wykrycia morderców. Dalibóg, można by nawet uwierzyć, że ten człowiek, jeśli nagle umarł, to sobie chyba sam życie odebrał.

— Cóż pan wie o jego życiu?

Ślimak usiadł wygodnie w fotelu i zaczął opowiadać to, co chwilę przedtem usłyszał.

Hanier pochodził z Francji. Urodził się w roku 1842 w Vendrenil w Pikardji, w małej górskiej wiosce w Ardennach, gdzie jego ojciec trudnił się uprawą lnu. Otrzymał odpowiednie do swego stanu wychowanie i wyrósł na pięknego, zdrowego, silnego chłopaka. Miał siostrę, młodszą od niego o jakie cztery lata, która miała być podobno nadzwyczaj piękną.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, Ludwik Hanier oznaczał się tem, że był nie tylko przystojniejszy, ale i o wiele mądrzejszy aniżeli jego rówieśnicy, na wsi wychowywani. Wkrótce ogarnęła go też niepokonana żądza poszczepienia się w świat i szukania szczęścia. Pojechał więc do Belgii, siedział tam parę miesięcy, później zwiedził całą północno-wschodnią Francję, zarabiając na życie własnymi rękoma. Podczas tych podróży udało mu się poznać tajemnicę fabrykacji likierów, którą się podówczas zajmowały wyłącznie Niderlandy, i przyswoił sobie gruntowną znajomość tej gałęzi przemysłu. Ponieważ zaś wiedział, jaką masę likierów spożytkowuje rokrocznie Francja, miał więc nadzieję, że znajomość tę będzie mógł bardzo dobrze spieniężyć.

Jednak środki pieniężne, jakimi rozporządzał, były za szczupłe i musiał dosyć trudności przezwyciężyć, zanim zebrał tyle, aby mógł otworzyć własną fabrykę. Mimo to po dwóch latach jego fabryka likierów przy ulicy Allier-Chartre pod liczbą 30 w Paryżu była już w ruchu.

Tymczasem siostrą jego, która miała precydujący głos, zajęło się kilku prawdziwych zwolenników sztuki, jacy ją przypadkowo podczas wakaacji poznali i słyszeli jej śpiew. Oni to postarali się o to, że młoda dziewczynę przyjęto do konserwatorium w Paryżu, gdzie się uczyła śpiewu u najwybitniejszych mistrzów. Po czterech czy pięciu latach gorliwej nauki wystąpiła młoda śpiewaczka publicznie i zyskała ogromne uznanie nie tylko publiczności, ale i surowej krytyki. Przyszłość jej więc była zapewniona. Zaanżowano ją do Londynu, gdzie, jak sądziła pani Hanier, jakiś majętny pan z dobrej rodziny musiał się jej oświadczyć, bo porzuciła scenę, na której takie święta tryumfy, widocznie przekładając spokojne zacisze domowe-